Rocznik I. Kraków, dnia 15. lutego 1897. Nr. 4.

Prenumerata wynosi: kwartalnie w Austryi 1 złr., w Niemczech 2 m., (numer pocztowy 107 a, t. poln.) w innych krajach 3 fr.

ŚWIATŁO

DWUTYGODNIK ILLUSTROWANY.

WYDANIE KRAKOWSKIE.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Dr. Feliks Koneczny, Kraków, ulica Wolska 21.

JAŚNIE WIELMOŻNE KAPOTY.

Mówiliśmy w zeszłym numerze „Światła" o małym stopniu poczucia godności wśród naszego mieszczaństwa. Kto jednak temu najbardziej winien?

W normalnych warunkach, skoro tylko nie zachodzą jakieś szczególne okoliczności, zawsze starsza brać odpowiedzialną jest, przynajmniej poniekąd, za młodszą. W mieszczańskim stanie starszą bracią są zamożni kupcy i przemysłowcy, tudzież intelligencya, ci wszyscy, którzy zarabiają na życie w t. z. wolnych zawodach, a pochodzą z mieszczańskiego rodu. Z natury rzeczy wynika, że powinni oni mieć wpływ na liczną rzeszę drobnych kupców, kramarzy, rzemieślników itp. Skoro tak nie jest, trzeba nam poszukać przyczyny tej fatalnej próżni wśród ogniw politycznego rozwoju społeczeństwa.

Może rzemieślnicy demonstracyjnie odtrącają od siebie intelligencyę i tamują jej przystęp do siebie? Dotychczas nie dostrzeżono u nas ani jednego takiego wypadku. Rzecz ma się właśnie przeciwnie. Ilekroć ktoś z intelligencyi wkroczy pomiędzy tę warstwę, bywa przyjętym z otwartemi ramiony, a możnaby nawet wskazać niejeden przykład, że te ramiona roztwierały się raczej nazbyt skwapliwie; wszak najłatwiej o popularność wśród mieszczaństwa, skłonnego zawsze do tego, żeby zaufać szybko; jest to żywioł wręcz przeciwny pod tym względem ludowi wiejskiemu, który podejrzliwy do przesady, tego tylko nie podejrzywa, kto zręcznie podejrzliwość jego w inną skieruje stronę. Tego nie można powiedzieć o mieszczaństwie; nie posiada ono tej przywary, żeby zawsze musieć mieć kogoś w podejrzeniu; raczej przeciwnie, zanadto bywa łatwowiernem.

Narazie mieszczaństwo garnie się ku intelligencyi, ilekroć tylko nadarza się do tego sposobność. Złoty to przymiot pod względem społecznym, a nieoceniony pod politycznym; niestety, nietylko go dotychczas nie wyzyskano, ale robi się wszystko, co tylko można, żeby go osłabić i wreszcie wykorzenić. Toteż, jeżeli stosunki się nie zmienią, doczekamy się, że nastanie rozbrat pomiędzy mieszczaństwem — w zwykłem rozumieniu tego wyrazu — a intelligencyą, a po kilku już może latach będziemy mieli zawiązki nowej polityki kastowej, po kilkunastu zaś, intelligencya pozbawiona będzie wszelkiego wpływu i znaczenia, aż wreszcie stanie się na rydwanie krajowej polityki owym motylem z bajki, który spotka się z szyderczym śmiechem, gdy zażąda, żeby się liczono z jego wagą.

Nasza intelligencya zachowuje się względem rzemieślników i niebogatych kupców odtrącająco, a po większej części w sposób wprost pogardliwy. Najszkodliwsza z polskich przywar: arystokratomania, sprawia, że nietylko notaryusz lub profesor, ale prosty strażnik skarbowy z gwiazdką, ma się za coś znacznie wyższego od kowala, krawca lub szewca i patrzy na niego z góry. Powiada się nieraz, że intelligencya stanowi właściwie odrębny stan w narodzie, osobną warstwę społeczną; mniejsza o to, jak to wygląda w teoryi, dość, że w praktyce jest to absolutnie niewykonalnem, wszelkie zaś dążenie do tego niepożądanem, bo szkodliwem dla ogólnego rozwoju narodu. Intelligencya winna dążyć do tego, żeby się rozdzielić pomiędzy wszystkie warstwy, żeby żadnej z nich nie brakowało ludzi z lepszem znawstwem spraw! Toteż intelligencya wyszła z łona mieszczaństwa, powinna przy tym stanie trwać, solidaryzować się z nim społecznie, nie wykraczać swemi aspiracyami poza jego granice.

A tymczasem cóż się dzieje? Intelligencya przypomina często lisa, który zaciera swe ślady na piasku; ale jest jedna kapitalna różnica, bo lisowi chodzi o życie, a intelligencyi o... blichtr i o nic więcej. Większy zasób sił, zdobytych nauką, a przy-

tem prawie zawsze przetrzymaniem najstraszniejszej walki o byt za młodu, zwracają potem w wieku męskim w najfałszywszym kierunku, nibyto „w górę“, a właściwie — w próżnię. Syn rzemieślnika widział, jak nad jego ojcem wzruszano pogardliwie ramionami i postanowił stać się równym tym, którym niegdyś całował ręce (niepotrzebnie); zrównawszy się z „wyższymi“, okazuje to w ten sposób, że sam teraz z góry patrzy na swoich kuzynów! Kubek w kubek ta sama historya, jak z antenatami naszymi w XVI. w., którzy wybiwszy się na wierzch, starali się o herb i ani już słyszeć nie chcieli o braciach w kapotach! Dzisiejsi herbów nie dostają, a często gęsto udają demokratów, ale z tem zastrzeżeniem, żeby ich nikt się nie ważył zaliczyć do tej samej warstwy społecznej, jak szewców, krawców i garbarzy. Do jakiej warstwy sami siebie zaliczają, niewiadomo; to pewna, że t. z. „śmietanka towarzystwa“, ku której zwracają oczy, patrzy na nich tak samo z góry jak na szewców, z tą tylko różnicą, że nie robi tego tak jawnie; o tem, żeby ich tam miano uważać za równych sobie, niema mowy, a przynajmniej nie wydarzył się dotychczas ani jeden taki wypadek; jestto zresztą dosyć naturalne. Tak tedy ta intelligencya jest poza warstwami społecznemi, nie chcąc należeć do mieszczaństwa, a nie mogąc do arystokracyi; jest strasznie nijakiego rodzaju, nijakie też jej znaczenie i nijakie owoce z wysiłków jej pracy, bo cały trud życia tych ludzi idzie — w próżnię. Mieszczaństwo zaś pozostaje, jak było, szarą masą i świeci nieobecnością w bilansie narodowego życia. Ci bowiem, którzy powinni je podnieść i wprowadzić na właściwe tory, nie ku niemu kierują swe kroki, plecami od niego się odwracają.

Czy może być zajęcie godniejsze intelligentnego człowieka, jak szerzyć intelligencyę koło siebie? pozostać w styczności z tymi, z łona których się wyszło, być dla nich szczerym bratem i doradcą w ciężkich chwilach, podnosić cywilizacyjnie tych, którzy mieli mniej sposobności czerpać ze zdrojów oświaty i wpływać na nich, żeby poczuli godność swego stanu? Czy nie lepiej być rosą i solą mieszczaństwa, niż nadętym pęcherzem, którego nigdzie nie biorą na seryo? Gdyby wszyscy ci, którzy z kapocich wyszedłszy rodów, zajęli stanowiska wśród intelligencyi, działali dalej wśród mieszczańskich szeregów, pozyskalibyśmy wkrótce wielką i potężną warstwę społeczną, tę, bez której nie może być mowy o założeniu fundamentów pod szczęśliwszą przyszłość Ojczyzny. Pozostań mieszczaninem, kto się nim urodziłeś, nie pchaj się, gdzie cię nie posiano, nie wypieraj się kapoty, lecz przeciwnie: utrzymuj związek, poza którym — nie będziesz nigdy na swojem miejscu. Gardząc rzemiosłem, unikając stosunków z rękodzielnikami, pusząc się, żeby być czemś „wyższem“, wymagając adoracyi od własnego pnia, z którego się wyszło, a którego winno się być tylko wdzięczną, dostarczającą cienia koroną — stajecie się w końcu śmiesznymi! Niema bowiem pociesznieiszych figur, jak mieszczuchy udające Jaśnie Wielmożnych; świat przecież wie, że to tylko taka „Jaśnie Wielmożna Kapota“, a prawdziwy „pan z panów“ zrywa boki ze śmiechu, patrząc na tę maskaradę. Czy warto i czy się godzi marnować życie na to, żeby zdobyć trochę blichtru? czy to ma być znakiem intelligencyi? A jednak jest faktem, że intelligencya dzieli się dzisiaj tylko na dwa odłamy: jeden, mniejszy, obszywa ojcowską kapotę galonami jaśniewielmożności, a drugi, t. j. olbrzymia większość, której stosunki nie pozwalają na ten zbytek, jakby się wstydziła samej siebie, siedzi cicho w kącie i nie bierze całkiem udziału w życiu publicznem, a pod społecznym względem jest narazie niczem, a w przyszłości stać się może rozsadnikiem stada intelligentnych malkontentów. Wszystko zaś przez to, że nie chcą być tem, czem być winni, tj. integralną cząstką mieszczaństwa.

Wobec tego, nie można się tak dalece dziwić, że nasze mieszczaństwo niema w sobie poczucia godności swego stanu, skoro (z nader rzadkiemi wyjątkami) ci wszyscy, którzy powinniby tę godność podnosić, sami depcą ją nogami, krocząc ku jakiejś nieuchwytnej jaśniewielmożności, która i tak nie będzie nigdy ich udziałem. Wszędzie jednak są wyjątki, znajdą się bodaj i tutaj. Czas nagli, żeby kwestyę postawić jasno, bo chodzi o sprawę, której skutki mogą być na przyszłość jak najdonioślejsze. Oby tedy skupiły się te wyjątki, które pragnąc zajść jak najdalej na drodze rozwoju swej intelligencyi, nie łączą z tem wzgardy dla braci pozostałych po warsztatach i nie pozują na jaśniewielmożnych. Oby jednak równocześnie wyszła też z warsztatów reakcya przeciw bezmyślnej czci dla każdego, kto się na „wyższego“ narzuca — oby „Jaśnie Wielmożna Kapota“ przestała imponować im i oby przestali sami dzieci swoje wychowywać na takie ni to ni owo.

Niema w całej Europie społeczeństwa, któreby tyle sił społecznych marnowało, ile nasze, wymagające chyba właśnie jak największej oszczędności w tej mierze; najprzykrzejszą zaś okoliczność stanowi marnotrawienie intelligencyi pod względem społecznym.

Obyż przejrzeli już raz nasi rękodzielnicy i drobni przemysłowcy, że dopuszczają się ciężkiego grzechu przeciw samym sobie, gdy zawód swój zohydzają przed własnemi dziećmi, gdy tłumaczą synowi, że wyfforuje się na coś „lepszego“, gdy

będzie ladajakim gryzipiórkiem, kancelistą. Czyż nie lepiej stokrotnie podnieść ojcowskie rzemiosło o stopień wyżej i pokazać, że dobry rękodzielnik wart dobrego urzędnika, a nawet przewyższa go swoją wartością społeczną? Nauka od dawien uznaje to za prawdę, a intelligencya wie chyba o tem! Do niej tedy należy zwracać na to uwagę przy każdej sposobności i okazywać szacunek dla rękodzielniczych zawodów i drobnego przemysłu. Ażeby jednak podnięść skutecznie godność tych warstw, zamiłowanie do swego zawodu, a przez to zarazem przyczynić się skutecznie do ich wydoskonalenia, trzeba koniecznie, żeby ta część intelligencyi, która z mieszczaństwa wyrosła, przy mieszczaństwie trwała i w niem pozostała.

Intelligencya nasza roi sobie, że tworzy odrębną warstwę społeczną, jakiś idealny stan średni, jakieś poprawne wydanie dawnej szlachty polskiej i wmawia w siebie, że na jej barkach stoją sprawy publiczne. O tem złudzeniu w następnym numerze.

FABRYKI PASÓW POLSKICH.

Jednym z najoryginalniejszych produktów kultury polskiej był wyrób pasów, które pięknością swą i charakterystycznemi cechami zwracają na siebie uwagę tak krajowych jak zagranicznych amatorów sztuki i zbieraczy, a w różnorodności swej nie zostały dotąd dostatecznie zbadane. Z wyrobem naszych pasów, rozwinięciem się ich fabrykacyi, wiąże się przytem wyrób jedwabnych tkanin i makat, a nawet pewnego rodzaju, (jak to przez długi czas sądzono,) polskie pochodzenie mających dywanów.

1) Najważniejsza fabryka pasów, służących do ubioru polskiego, założona była w Słucku około 1750 r. przez dziedzica tej miejscowości ks. Hieronima Floryana Radziwiłła. Wyrabiała ona za czasów ks. Karola, wojewod. wileńsk., na rok po 200 pasów, cenionych od 5—50 dukatów każdy, tak jedwabnych jak litych częstokroć szerokich na łokieć. Jedyną ich różnicą od perskich i tureckich był napis, świadczący, że były wyrabiane w Słucku. Zarząd tej fabryki do r. 1757 spoczywał w ręku jej właściela ks. Radziwiłła, a raczej nieznanej nam bliżej administracyi, ustanowionej przez niego. Odtąd głową tej rękodzielni stał się Mażarski; był on chrześcijaninem, rodem z Węgier. Wzięty przez Turków w niewolę, wyuczył się u nich tkania pasów, niewiadome koleje życia zagnały go następnie na Litwę, osiadłszy w Słucku objął zarząd fabryki z obowiązkiem rocznej opłaty 10.000 złp. księciu. Prawnuczka jego Elżbieta Mażarska, żona Czesława Moniuszki, obywatela mińskiej gubernii, była matką słynnego naszego muzyka i kompozytora Stanisława Moniuszki. Po śmierci Jana Mażarskiego kierował fabryką syn jego Leon. W roku 1781 tytułował się on prezesem fabryki, wyrabiać miał także po 200 pasów od 5—50 dukatów za każdy dla ks. Karola Radziwiłła, wojewody wileńskiego. Potem objął fabrykę jakiś Borsuk, zmarły około roku 1845.

Tajemnica wyrobów słuckich polegała na kunsztownie zrobionym maglu, sprowadzonym przez Mażarskiego z Carogrodu. Turcy byli tak zazdrośni o tajemnicę swego maglu, że Mażarski, kilkakrotnie podróżując do Konstantynopola, za każdym razem tylko część warsztatu tego od Turków mógł przywozić i zaledwie po latach 10-ciu udało mu się z cząstek złożyć całość, a dokonał tego tak doskonale, że żaden magiel w kraju zrobiony wyrównać mu nie był w stanie. Po latach kilku na wzór carogrodzkich wyrabiano w Słucku magle takież same i liczba ich w fabryce doszła do 25.

2) Kobyłka, wieś między Okuniewem a Radzyminem, słynęła z wielu zakładów przemysłowych. Właścicielem jej był do wielkiego świata warszawskiego należący, stały gość Stackelberga, Unruh, starosta hamersztyński. W r. 1782 Solimond z Lyonu założył tam fabrykę bogatych pasów jedwabnych na wzór francuskich i perskich. Wyrabiała ona co miesiąc 50 lub 60 ślicznych pasów polskich, które nietylko w kraju, ale i za granicą odbyt miały. Jakób Paschalis kierował tą fabryką następnie i dłużej niżeli jego poprzednik. Rękodzielnia ta przetrwała do r. 1804 — a po zarządzie Paschalisa przeszła na własność nowego jej dyrektora S. Filsjean'a, którego podczas powstania Warszawy zamordowali kozacy za to, że się wziął przeciwko nim do oręża. W nagrodę zasług na polu przemysłowem Paschalis otrzymał szlachectwo dyplomem Stanisława Augusta z dnia 8 marca 1791 r. Nadany mu herb „Jakubowicz,“ wyobraża baranka trzymającego prawą nogą chorągiewkę czerwoną. Po przejściu Kobyłki na własność Filsjean'a, Paschalis nabył

w okolicach Warszawy dobra Zielonki i we wsi Lipkowie, do tych dóbr należącej, urządził na nowo swoją fabrykę. W Lipkowie do niedawna dochowujący się kamień na budynku dawnej fabryki, miał taki napis: „Za panowania Stanisława Augusta, Króla pols., stanęła fabryka przez Paschalisa Jakubowicza, dziedzica dóbr Zielonek, założona w wiosce Lipkowie, do tychże dóbr należącej, w województwie mazowieckiem, ziemi warszawskiej roku 1790, którą fabrykę Król JM. i wielu prawodawców Sejmu sławnego swą przytomnością zaszczycić raczyli na znak przychylności dla ludu i rękodzieł". Jakubowicz był Ormianinem, pochodził z Małej Armenii z miasta Takat. Nazwisko to się zatarło, najczęściej nazywają go Paschalisem, a pasy paschalisowskimi.

Pokazuje się zatem, że były w tym wypadku dwie fabryki pochodzeniem ze sobą związane, pierwsza, najstarsza w Kobyłce i późniejsza w Lipkowie; pierwszą prowadzili z kolei Solimond, Paschalis i Filsjean, a drugą tylko Paschalis.

3) W Grodnie w r. 1765 pod kierunkiem Jakuba Bezu założył Antoni Tyzenhauz, podskarbi litewski, fabrykę jedwabnych litych pasów o 24-ch warsztatach, sprowadzając robotników z Niemiec i Holandyi.

4) W Nieświeżu była też fabryka perskich pasów zwana „Persiarnia," lecz obie te fabryki niedługo trwały.



Pas polski z Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie, Nr. 723.

5) Schidlitz (czyli Szydłowiec) przedmieście Gdańska, posiadało fabrykę pasów polskich i płaszczów, używanych przy modlitwie przez żydów, „Tales" zwanych. — Czynność jej zakończyła się z chwilą podziału Polski. — C. Salzhüber, ojciec prababki obecnie żyjącego w Gdańsku malarza Stryowskiego, zarządzał tą fabryką, dającą zarobek 80 czeladnikom. W staro-gdańskiej rodzinie von Frantzius przechowały się pasy gdańskiego wyrobu, których dostała się część do muzeum w Gdańsku, część zaś do muzeum w Crefeld. Był też przy nich rachunek, podający, ile każdy kosztował w fabryce, lecz ten zaginął.

6) W Przeworsku, powiat łańcucki, Zofia z Krasińskich ks. Lubomirska, kasztelanowa krakowska, fundowała koło roku 1780 fabrykę pasów jedwabnych i bogatych i sprowadziła do jej prowadzenia fabrykantów z zagranicy.

7) W Drzewicy, powiat opoczyński, około roku 1760 dziedzic Filip Neryusz Szaniawski, starosta kąkołownicki, założył fabrykę pasów tudzież innych rękodzieł, sprowadziwszy w tym celu cudzoziemców. Jest przywilej królewski na tę fundacyę z roku 1766.

8) W Kutkorzu, majątku w powiecie złoczowskim, założył fabrykę w XVIII wieku Antoni Łączyński, chorąży żydaczowski.

9) Międzybórz (?) zapewne Międzybóż, powiat latyczowski, u zbiegu Bohu i Bożka, majętność Sieniawskich a następnie Czartoryskich, gdzie miała być (według Kołaczkowskiego) także fabryka pasów.

10) Sokołów, miasto powiatowe gub. siedleckiej, gdzie Michał Kleofas Ogiński, podskarbi litewski, starał się zaprowadzić przemysł tkacki. Sprowadził on robotników z Montbeillard, którzy wyrabiali na domowych warsztatach pasy.

11) Różana, miasteczko nad Zelwianką, powiat słonimski. W końcu XVIII wieku Aleksander ks. Sapieha, kasztelan wiel. lit., przyczynił się do założenia tutaj fabryki materyj jedwabnych, obić adamaszkowych, atłasów i pasów.

12) W Uhnowie, w dawnem województwie bełzkiem, należącym w XVIII wieku do Dzierżków, miała się wedle Kołaczkowskiego znajdować również fabryka pasów.

13) W Żmigrodzie koło Gorlic, własności w XVIII w. Radziwiłłów, wyrabiano także pasy.



Pas króla Stanisława Augusta. Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie, Nr. 707.

14) Nakoniec Lwów i Kraków. Pasy jedwabne z napisem: *Fe. Jan Markonowicz anno 1701,* z których jeden posiada Muzeum przemysłowe lwowskie, musiały być prawdopodobnie wyrabiane we Lwowie.

15) Kraków posiadał trzy znane fabryki: Chmielowskiego, Puciłowskiego i Masłowskiego.

Nie potrzebujemy nareszcie dodawać, że do zaspokojenia potrzeb miejscowych te liczne, ale w rozmaitych czasach i częściach Polski powstałe rękodzielnie nie wystarczały. Jest rzeczą prawdopodobną, że zamawiano pasy jedwabne i lite do stroju polskiego w Lyonie, a jest rzeczą nieulegającą wątpliwości, że je wyrabiano w Paryżu. Pasy z napisem *à Paris* są dobrze znane.

Wzory zaczerpnięte były z dalekiego Wschodu, przechowują więc stale ten charakter i krajowe wyroby. Rozmaitość barw i rysunku jest tak znaczna, iż utrzymują niektórzy, że dwóch pasów zupełnie do siebie podobnych, z powtórzonym tym samym wzorem i kolorami nie da się znaleść. Wyjątkiem pod tym względem jednakże są pasy wyrabiane w Grodnie, zastosowane do barwy mundurów, mające czerwone tła po jednej, zaś po drugiej zielone lub trzy barwy na jednej stronie na niektórych, i tak zwane „Pozytywki" zawsze jednego koloru: zielone na tle srebrnem, noszone na pamiątkę konstytucyi 3 Maja. Jest prawdopodobnem, że ta nazwa wynikła wskutek stanowczego przyjęcia zasad tej konstytucyi przez osoby, które na znak tego pasy tej barwy przy okoliczności wkładały. Przestrzegano zawsze, by pas odpowiednim był do koloru sukien.

Stosowano się również do czasu i okoliczności, a nawet i pór roku, stąd powstały pasy letnie, zimowe, strojne świąteczne, powszednie i żałobne, mundurowe i garniturowe. Dawniejsze pasy słynne także ze swej delikatności wyrobu, pochodzące z Chin, o których tradycya do dziś się przechowała, iż były, pomimo swej dwułokciowej szerokości, tak cienkie, że przez pierścień dawały się przewlec, nazywały się „bawolimi“ (pas bawoli). Tureckie ordynaryjne zwano „mędelkowymi“, „mukadynowymi“ lub „stambulskimi“ i zdaje się, że odróżniano jedne od drugich. Częste powtarzanie i podnoszenie tych zalet pasów, służących do ubioru polskiego, musi się odnosić do pozakrajowych wyrobów, bo żaden pas lity słucki lub innych fabryk przez pierścień przewlec się nie da.

Z natury rzeczy nieraz używano jeszcze tkanin, mających różne przeznaczenia, a które się dały użyć na pasy i zastosować do tegoż samego celu. Gołębiowski mówi o pasach białych, cenionych nie taniej jak 50 dukatów, które „do każdej sukni uchodziły“, a od Turków i Persów dostawały się do kraju dobrze podnoszone na zawojach. Ormianie je prali, prasowali i sprzedawali za nowe. Otóż i inne, nie tylko białe i do zawojów tureckich służące, ale różnobarwne i nieraz bardzo drogocenne tkaniny miewały takież samo zastosowanie. Muzeum XX. Czartoryskich posiada w swym zbiorze dwa pasy tego rodzaju. Oba, a zwłaszcza pierwszy, musiał być pierwotnie szalem, którego na pas używano.

Pasy słuckie i innych fabryk krajowych, w masie zebrane i zawieszone na ścianie jedne obok drugich, przedstawiałyby widok jakiejś makaty o zmięszanych ze sobą kolorach ginących w pewnym chaosie, na którą przechodzień zaledwieby zwrócił może uwagę. Lecz wziąć je do ręki — poruszyć tę spokojną powierzchnię, sfałdować — a wnet gra kolorów żywszą się stanie, fosforyczne błyski przelecą, żar jakby z pod popiołu się dobędzie i tysiące piękności odkryje. Ten zdobił ubiór hetmana — tamten służył dwunastu wojewodom — jeden piękniejszy i wspanialszy od drugiego; lecz i ten szlachcica z zagrody, na pozór skromny, mniej mający złota i purpury, mniej nadstawny i w oczy skaczący, kryje w drobnym układzie motywów niepospolicie obmyślane kombinacye barw i formy i nie ustąpi drugim pod względem artystycznej wartości.

Jeżeli tradycya nie myli, to najstarszym znanym nam pasem polskim byłby ten, który uchodził za własność Jana III, miał być przez niego używany, a dzisiaj jest własnością Sołtanów. Wspomina go Łuszczkiewicz w Sprawozdaniu z Wystawy Jana III, która się odbyła w Krakowie w r. 1883.

O ile nasze wiadomości i przegląd okazów wnosić pozwalają, to w wieku XVII, a raczej w drugiej jego połowie, znano tylko pasy jedwabne; z XVIII w. zaczynają się dopiero lite, z tłami złotemi i srebrnemi. Najstarszym znanym fabrykantem, jak z napisu wnosić należy, jest przytoczony powyżej Jan Markonowicz, prawdopodobnie ze Lwowa. O dacie powstania fabryk krakowskich Chmielowskiego i Puciłowskiego nic niestety nie wiemy.

Jeżeli pas był za szczupły, żeby się okazalszym wydawał — a przytaczamy tu znowu Gołębiowskiego — lub jeśli był bogaty, żeby się nie łamał, kładziono we środek jego tak zwaną d u s z ę, czyli przepikowaną płócienną taśmę grubą i dychtowną, nieco od pasa krótszą, a na niej obwijano pas tak, ażeby końce szlaku i część najpiękniejsza dna, którą wybrano, była widoczna. Pasy dzisiaj z takiemi d u s z a m i należą do wielkich rzadkości; przechowały się jednak, o ile nam wiadomo, w niektórych zbiorach, jak między innemi w bogatym zbiorze hr. Emeryka Czapskiego w Stańkowie na Litwie.

Na zakończenie powrócimy do jednego z fabrykantów krakowskich, bardzo głośnych, o którym możemy podać nieznane dotąd szczegóły uzupełnione z archiwalnych dokumentów. Fabrykant ten jest dla nas tem ważniejszy, że przedstawia nam przykład tej industryi rozwiniętej już na gruncie polskim. Jeżeli znaczna część rękodzielni, wymienionych powyżej, założona była u nas przez cudzoziemców i wyrabiała swoje produkty za pomocą cudzoziemskich robotników, to ta, o której mamy bliżej mówić, jest wyłącznie polska, miejscowa, prowadzona przez Polaka, który się tej sztuki od cudzoziemców nauczył i prowadził swoje warsztaty polskiemi siłami, co wszystko sprawia, że i jego osobistość zasługuje na wspomnienie i budzi większy interes. Załączamy podobiznę portretu Masłowskiego, pędzla Michała Stachowicza. Malowanie skromne, staranne, o dobrym rysunku, może nieco konwencyonalnym, przedstawia nam rysy twarzy okrągłej bez zarostu, włosy czarne ocieniają mu czoło i wiją się z tyłu głowy. Ubrany jest w kontusz czarny, żupan oliwkowy w prążki, brylantowa spinka błyszczy u kołnierzyka koszuli, biodra opasuje mu lity pas złoty, zapewne jego własnej fabryki i może ten sam, w którym go do grobu złożono. Jedną rękę ma na tym pasie opartą, na niej widny jest sygnet z wyraźnie wypukło wyrzeźbionym na czerwonym kamieniu herbem „Samson“, (patrz: Niesiecki, t. VI, str. 354. Samson paszczękę lwa rozdzierający), ponad nią zwisa dewizka także z pieczątką z czerwonym kamieniem, z lewego zaś boku ukazuje się rękojeść karabeli jakby z perłowej macicy, ze złotym wzorem. Może to ta sama karabela sprzedaną była po jego skonie za 15 złp. żydowi niejakiemu Adlerowi. Tło na portrecie jest ciemno-błękitne prawie.

Franciszek Kajetan Masłowski, herbu „Samson“, urodził się w r. 1758 prawdopodobnie w Kobyłce pod Warszawą, bo stamtąd pochodził i tam się nauczył sztuki tkania pasów. Zmarł 1830 r. 12 kwietnia we własnym domu na Wesołej pod Nrem 244 (starym), licząc 72 lata wieku. Pogrzebany został na rakowickim cmentarzu pod Krakowem, lecz miejsce spoczynku żadnym pomnikiem nieoznaczone, nie jest znane. Oprócz domu na Wesołej, posiadał murowany dom przy ulicy Grodzkiej, dziś noszący Nr. 42, w którym fabrykę słynnych pasów prowadził do pierwszych lat naszego stulecia. Fabrykę na lat kilka przed skonem zwinął, a zajął się handlem wina na Wesołej. Franciszek Kajetan Masłowski był trzy razy żonaty i miał liczne potomstwo. Dom przy ulicy Grodzkiej, Nr. 42, zachował jeszcze dotąd charakter epoki w ornamentach i przetrwał we władaniu rodziny do dnia dzisiejszego, przechodząc z ojca Kajetana na syna Dominika, który się poświęcił jubilerstwu, potem na wnuka Antoniego, cukiernika, wreszcie na prawnuka Kazimierza, który utrzymuje po ojcu cukiernię przy ulicy Grodzkiej w domu pod Nrem 11.

Franciszek Ksawery Masłowski, syn Franciszka Kajetana z trzeciej żony, był aplikantem b. Trybunału I-ej instancyi za Rzeczyposbolitej krakowskiej i członkiem redakcyi „Czasu“ w ostatnich latach życia. Zmarł 1868 r. 15 kwietnia w Krakowie. Pozostawił piękny zbiór starożytności i przedmiotów sztuki, który był w drodze licytacyi sprzedany po bezpotomnym jego zgonie. Inwentarz tych przedmiotów miał być drukowany w Krakowie. Nie jeden z tych zabytków mógł należeć do jego ojca Franciszka Kajetana, po którym w domu przechował się dotąd u prawnuka Kazimierza zbiór sztychów i prócz wyżej opisanego portretu pradziada, kilka obrazów, między innymi ładny i ciekawy widok klasztoru Zwierzynieckiego i zamku na Wawelu w oddali, przez Płonczyńskiego, tudzież dobry portret, popiersie, Franciszka Ksawerego Masłowskiego, malowany olejno przez baronównę Stein, przyjaciółkę Hamerlinga.

Stanisław August wydał przywilej dnia 23 lutego 1787 roku w Warszawie Franciszkowi Masłowskiemu i żonie jego Tekli na fabrykę pasów i szlaków ze złota, srebra i jedwabiu ciągnionych, którą tenże Masłowski na wzór fabryki słuckiej zdaje się niedługo przed rokiem 1787, niemałym kosztem w Krakowie założył. Przywilejem tym nadał król Masłowskiemu monopol wyrobu pasów i szlaków na przeciąg lat 20 na obszar Krakowa, Kazimierza, Stradomia i Kleparza. Masłowski oblatował ten przywilej tak w grodzie krakowskim jak i w urzędach miejskich. Do urzędu radzieckiego krakowskiego wniósł Masłowski przywilej do wpisania go w księgi dnia 15 marca 1787 r.

(Alfred Römer: Pasy polskie, ich fabryki i znaki. Spraw. Kom. hist. sztuki Ak. Umiejętności, tom V., zesz. 3).

O DAWNEM PODDAŃSTWIE LUDU POLSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Trzeba nam cofnąć się myślą do prastarych czasów, kiedy nie było jeszcze państwa polskiego. Drobne ludki Lechów, Ślęzan, Łęczycan, Polan i t. d. siedziały każdy z osobna w swoich krainach, poodgradzane od siebie bagnami i puszczami, nie troszcząc się wzajemnie o siebie. Osadnictwo niezmiernie rzadkie, a osadę złożoną z kilkudziesięciu głów uważano już za znaczniejszą. Osada składała się niemal zawsze z samych tylko krewnych i powinowatych. Kto pierwszy gdzie osiadł na pustkowiu czy w lesie, zajmował przez to samo na swą własność ziemię okoliczną, która dotychczas była niczyją; posiadłość jego sięgała tak daleko, jak daleko zdołał rozszerzyć na niej zakres swej pracy. Nie brakło tedy miejsca, ani środków utrzymania dla jego dzieci, wnuków i prawnuków; po kilka pokoleń mogło było bezpiecznie wyżywić się na miejscu — jeżeli tylko była ochota do zajęć rolniczych.

Ochoty tej było jednak z pewnością niewiele; niejeden wolał ryby łowić, bobry chwytać, ubijać zwierzynę i futra sprzedawać kupcom z zachodu, bo to były zajęcia intratniejsze. Należy uważać za pewnik, że rolnictwo natenczas dopiero zaczęło się szerzyć, gdy ludność danej okolicy wyzyskała już do zbytku te sposoby życia, które można było czerpać z przyrody bezpośrednio, bez systematycznej pracy. Zresztą rolnictwo pierwotne nie mogło też tak wiele dostarczyć chleba. Gleby zdatnej do orki było niewiele; wszak ją przysposabiać dopiero musi pot pokoleń! Nie umiano też ziemi uprawiać, jak należy, nie umiano sobie radzić, a skutkiem tego

potrzeba było na wyżywienie człowieka bez porównania więcej ziemi, niż dzisiaj; prawdopodobnie ze 20 razy więcej — a całe grunta wielkiej, ludnej wsi dzisiejszej starczyły pierwotnie w sam raz na wyżywienie jednej rodziny. Wobec tego rolnictwo mogło być tylko dodatkowem niejako zajęciem. Czem bardziej atoli mnożyła się ludność, tem potrzebniejsze było nawet to zajęcie dodatkowe, bo tem bardziej zależało na każdem ułatwieniu utrzymania życia.

O przeludnienie było łatwiej w czasach pierwotnych, niż dzisiaj. Przez zwyczajny przyrost ludności z pokolenia w pokolenie musiało się wreszcie dojść do tego, że ziemia, bór i rzeka nie mogły już wszystkich wyżywić. Nie nastręczały się nowe sposoby utrzymania, bo tych dostarczyć może tylko postęp cywilizacyi, pozostawał więc tylko jeden środek: emigracya czyli poszukiwanie nowych siedzib, zakładanie nowych osad. Emigracya ta nie sięgała daleko; zajmowano stopniowo coraz dalszą okolicę, aż — natrafiono na ziemię, która nie była już niczyją, na posiadłości sąsiedniego ludku. Rozpoczynały się walki, a nieurodzaj, głód lub pomór na bydło wiodły niechybnie do wojny z sąsiadami. Prawo bowiem zwyczajowe, pilnujące uczciwości wśród członków jednego ludu, nie obowiązywało nikogo względem obcego, chyba, że był gościem w domu; zresztą człowiek obcy, z innego ludku, z obcych stron, był prostym przedmiotem łupu; godziło mu się zabrać wszystko, spalić sadybę, a jego samego zabrać w niewolę lub drugiemu do niewoli sprzedać. Człowiek cudzy nie miał wobec obcych żadnych praw, wolno było dopuścić się względem niego wszystkiego bezkarnie. Jeżeli n. p. Bobrzanie chcieli, żeby każdy Ślęzanin szanował ich wolność i własność, musieli o to zawrzeć z nimi **osobną umowę**, mocą której dopiero te prawa uczciwości, które obowiązywały w domu, rozszerzano do wzajemnych między sobą stosunków. Podobnież wymagały takich umów sąsiedzkie stosunki Lechów ze Ślęzanami, Lechów z Łęczycanami i t. p. Bez osobnej umowy o pokój była wojna zawsze i wszędzie, gdzie się obcy z sobą spotykali.



Franciszek Masłowski * 1758 † 1830.

Wojna wprowadziła różnicę stanów, najpierw na wolnych i niewolnych, a następnie jeszcze między wolnymi różnice, z których następnie powstały warstwy społeczne.

Na wojnie potrzeba silnej władzy, surowego rozkazu i ślepego posłuszeństwa. Toteż skoro tylko zaczęły się wojny, powstała też niedługo władza naczelnika wojskowego, czyli **władza książęca**, sprawowana przez księcia, otoczonego **drużyną wojenną**, wyczekującą każdej chwili jego rozkazów. W czasach ustawicznej niepewności i ciągłych zawieruch, ten lud największe miał powodzenie, który największą w sobie wyrobił karność, którego książę największą miał władzę i najpowolniejszy dla siebie znajdował posłuch. W pośród tego ludu największy był porządek i bezpieczeństwo, a te ludy, które nie umiały czy przez niesforność nie chciały poddać się władzy jednego z rodaków, te które chciały żyć ciągle dalej po staremu, bez drużyny wojennej i bez księcia, te musiały z konieczności uledz innym. Zmieniły się czasy, nastał nowy okres, trzeba się było inaczej urządzić, dać sobie spokój z urządzeniem społecznem starem, które już było nieprzydatne, a przyjąć tę **nową organizacyę**, czyli nowe urządzenie porządku publicznego. Z tych

to przemian miała powstać po pewnym czasie nasza organizacya państwowa. Wytworzyła się ona najwcześniej w Wielkopolsce, dlatego też tam jest kolebka państwa polskiego.

Widocznie Polanie z Wielkopolski mieli najlepszą organizacyę państwową, skoro inne ludki poprzyłączały się do ich państwa. Było to przedewszystkiem wielkiem dobrodziejstwem cywilizacyjnem, wielkim postępem, bo odtąd ludki te nie wojowały już ze sobą, nie uważały się wzajemnie za obcych. Wojny jednak nie zabrakło, bo nowe polskie państwo miało sporo wojennych kłopotów z Niemcami, Rusią, Prusakami i t. p. Nateneczas wytworzył się odrębny stan wojskowy i nie bez przyczyny wyraz łaciński *miles* (żołnierz) znaczy w źródłach średniowiecznych tyle, co szlachcic. Ci, którzy woleli wojenkę niż orkę, tworzyli straż zbrojną swej ziemi. Już Mieszko I. posiadał stałą drużynę wojenną, złożoną z kilkuset głów. Nowa ta warstwa społeczna utrzymywała się z łupu wojennego; chcąc jednak mieć ją na każde zawołanie gotową, należało postarać się dla niej o utrzymanie także podczas pokoju — żywił ją tedy książę — jak wówczas mówiono — swoim kosztem, czyli — według dzisiejszego sposobu mówienia — utrzymywano ją na koszt państwa. Rzecz w zasadzie zupełnie ta sama, jak dzisiejsze utrzymanie wojska kosztem publicznym.



Pas polski ze zbioru hr. Katarzyny Potockiej w Krakowie.

Żołnierzem był tylko ten, kto nim być chciał. Zawód ten jednak począł z czasem dostarczać tylu korzyści, że każdy — kto tylko posiadał odwagę i męstwo — byłby chętnie przystał do drużyny książęcej. Prosta to sprawa, że kto był w otoczeniu panującego i miał sposobność zwrócić na się jego uwagę, a nieraz oddać mu osobistą przysługę, ten też częściej i obficiej mógł korzystać z szafunku łaski pańskiej. Pragnął też każdy zapewnić tę łaskę także swoim dzieciom; toteż żołnierze wychowywali swych synów znowu na żołnierzy. Po pewnym czasie napływ do tego zawodu był większy, niż tego wymagała potrzeba; książę dawał pierwszeństwo tym, z których ojcami łączyły go już wspomnienia wojenne i tak się stało, że zawód żołnierski stawał się coraz bardziej dziedzicznym. Nie ogłoszono jednakowoż żadnej zasady pod tym względem, a przystęp do drużyn wojennych otwarty był każdemu, w praktyce jednakowoż coraz mniej było potrzeby przybierania nowych rodów pod znaki wojenne.

Taki jest początek szlachty polskiej, która wyrosła pierwotnie doprawdy ani z roli, ani z soli, ale z tego, co boli, bo z ran odnoszonych w bitwach. Stan wojskowy dzisiaj jeszcze, z końcem XIX w. ma cały szereg przywilejów i jest sporo rzeczy, których niewolno cywilnemu, a które uchodzą oficerom. Jakżeż nie miały powstać wówczas przywileje ze służby wojennej.

Zważmy, że uczestnictwo w książęcych drużynach podnosiło cywilizacyjnie ówczesnego żołnierza. Podczas gdy bartnik, rybak, rzemieślnik czy rolnik odbywał całą pielgrzymkę życia zazwyczaj na szczupłej przestrzeni rodzinnej okolicy, przodkowie szlachty towarzyszyli księciu w ustawicznych objazdach kraju (bo panujący nie mieli stałych rezydencyj) przysłuchiwali się sądom i naradom, ocierali się o cudzoziemców i sami nieraz zapędzali się na wojnach w obce kraje; oni znali świat i ludzi, oni mieli sposobność poznać, na czem polega istota państwa i jego żądania, tudzież wejrzeć w ogólne potrzeby całego kraju. Dwór książęcy w czasie pokoju i namiot jego na wojnie były szkołą polityczną. A była na dworze jeszcze inna szkoła. Wiadomo, że nauka spoczywała wyłącznie w ręku duchowieństwa. Kościół baczną zawsze zwracał uwagę na dwory panujących, tak, że w owych wiekach należy widzieć w otoczeniu księcia niemal ciągle jakiego biskupa; stale zaś przebywało na dworze grono najświatlejszych, najuczeńszych duchownych. Mamy na to mnóstwo wskazówek w źródłach dziejowych, jak ci duchowni szerzyli oświatę wśród dworzan; do pospolitych obja-

wów życia dworskiego należało to, co dziś nazywamy odczytem lub pogadanką naukową. (Słynął np. z tego dwór Mieszka II i Kazimierza Sprawiedliwego). Tylko ksiądz nosił z sobą książki i roznosił ich treść; tylko ksiądz szerzył naukę. Kto tedy chciał, mógł się kształcić na dworze, bo rozporządzał tam wszystkiemi środkami do tego.

Gdy tedy książę pragnął obsadzić jaki urząd, szukał kandydatów wśród swej drużyny, bo ona stała najwyżej pod względem cywilizacyjnym, najlepiej umiała trafić w intencye panującego, a do tego była najlepiej wyrobioną pod względem wojskowym: pierwotnie zaś każdy urząd książęcy miał zarazem cechę wojskową. W tych-to okolicznościach szukać należy źródła późniejszego ustawowego zastrzeżenia, że na urzędach zasiadać może tylko szlachta. Z razu jednak postanowienia takiego zasadniczego nie było; nie dla podniesienia jednej warstwy społecznej przeciw drugiej, ale z potrzeby i z konieczności przygotowywały się stosunki, z których później miały wyróść przywileje szlacheckie.

Książę, obrońca i kierownik państwa, wódz i sędzia najwyższy, musiał mieć dochody na cele publiczne. Podatki pieniężne są dopiero późniejszym pomysłem; z początku opłacano podatek w naturze, to znaczy albo wyrobami swemi, albo pracą. Jeden zawoził na gród zboże, drugi zanosił groty lub futra, a trzeci — służył państwu wojskowo. Dwojakiego podatku nikt nie płacił, a zatem wojskowy wolny był od wszelkich innych, zupełnie tak samo, jak rolnik lub bartnik wolny był od służby wojskowej. Panowało więc w zasadzie zupełne równouprawnienie pod tym względem. Jedni płacili podatek pracą swych rąk, a drudzy krwią.

Żołnierz nie zajmował się niczem innem, jak tylko służbą książęcą. W mniemaniu szerokiej publiczności przodkowie szlachty polskiej uchodzą za właścicieli obszernych włości, na których gospodarują. Nic mylniejszego! ani słychu o czemś podobnem w źródłach dziejowych. Aż do XIII wieku żołnierze ci po większej części całkiem nie posiadali ziemi. Byli pomiędzy nimi tacy, którzy pochodzili z rodów rolniczych i dziedzictwem mogli byli otrzymać kawał ziemi; skoro jednak rolnictwo pierwotnie było zajęciem wyjątkowem, a zatem i wśród przodków szlachty, wśród tych, którzy pierwsi przystali do książęcej drużyny, należy przypuszczać, że większość ich składała się z ludzi bezrolnych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

RZESZÓW.

(Dokończenie).

Najstarszym śladem archiwalnym Rzeszowa jest przywilej Kazimierza W. z 19 stycznia 1354, którym nadaje to miasto wraz z okolicą Janowi Pakosławowi de Stozyscz; darowizna wynosiła około 30 mil kwadratowych, a była nagrodą za poselstwo sprawione do Tatarów. Na tej darowiznie wyrosła można rodzina Rzeszowskich. Jeden z nich, zostawszy arcybiskupem lwowskim, przeniósł stolicę z Halicza w r. 1414 do Lwowa; on też dawał ślub Władysławowi Jagielle z Elżbietą Pilecką. Jan Rzeszowski, biskup krakowski (1471—1488) był za młodu żołnierzem i brał udział w bitwie pod Warną, a potem jeździł na Węgry celem odszukania Władysława Warneńczyka.

Miasto prowadziło ożywiony handel. Kupcy kołomyjscy jadący na jarmarki rzeszowskie zwykli byli omijać Lwów, który im nie bardzo był po drodze; na skargę Lwowian zakazał tego Kazimierz Jagiellończyk w r. 1460. Rzeźnicy krakowscy, pędzący bydło z Rusi, obowiązani byli obierać drogę na Ropczyce i Rzeszów. Nie brakło klęsk wojennych: w r. 1498 napad Wołochów, a w r. 1502 zagon tatarski, który zniszczył zupełnie miasto. Król Aleksander uwolnił Rzeszowian na 6 lat od podatków, ale zapewne to nie wystarczało, bo w r. 1532 Zygmunt Stary obniżył podatek po wieczyste czasy z 30 na 20 grzywien. Znowu spłonęło miasto i straciło w pożarze dawne przywileje, które Zygmunt I potwierdził na nowo, mianowicie na pobór myta i targowego. W r. 1576 znów pożar, a król Batory uwalnia miasto na 4 lata od podatków, a w r. 1578 wznawia jarmarki na św. Wojciech, św. Feliks i św. Barbarę, a zarazem ustanawia cła, z których połowę miał wybierać dziedzic dla siebie, a połowę dla króla.

Po r. 1583 wygasł ród Rzeszowskich, dziedziców Rzeszowa, a miasto przeszło na własność Ligęzów. Miasto zaczęło się podnosić, gdy nowy

pożar zniszczył je doszczętnie w r. 1621. Mikołaj Ligęza wyrobił dla miasta prawo składowe na ryby i wino. On też zaczął obwarowywać miasto i budować zamek. Warownia miała trzy bramy, cechy strzegły sześciu baszt i dostarczały hakownic; każdy mieszczanin powinien był mieć rusznicę, a każdy cech trzy kamienie prochu, trzy kopy kul armatnich, zapas hubki i lontów. W latach 1655 i 1657 ucierpiało miasto od Szwedów, którzy je zrabowali; do reszty zniszczyły je wojska Rakoczego.

W r. 1660 przeszedł Rzeszów, jako posag, w dom Lubomirskich. Jerzy Lubomirski przebudował okazale zamek. Za konfederacyi barskiej stoczono pod Rzeszowem utarczkę w r. 1769. Po pierwszym rozbiorze przypadło miasto Austryi, a rząd wiedeński usamowolnił je.

Ciekawe są wiadomości podane przez podróżników niemieckich, zwiedzających kraj świeżo zajęty. Jeden z nich, Schultes, nazywa Rzeszów Małemi Brodami i podnosi obrotność tutejszych żydowskich jubilerów, którzy prowadzili handel z Wiedniem, Stockholmem, Kopenhagą, Berlinem i Petersburgiem, a w Petersburgu i Kopenhadze byli nawet królewskimi pieczętarzami. Drugi z nich, Bredelski, nazywa Rzeszów galicyjską Jerozolimą i skarży się, że brudny. „Kreishauptmann“ Riedheim uważał jednak Rzeszów nie za byle jakie miasto, skoro na studni na rynku kazał umieścić napis: „Senatus populusque reszoviensis“; dziś studni tej już niema.

KINEMATOGRAF I ŻYWE FOTOGRAFIE.

(Dokończenie).

Prawdziwe żywe fotografie, t. j. odtwarzanie scen rzeczywistych będących w ruchu udało się otrzymać przed dwoma laty braciom Augustowi i Ludwikowi Lumière. Przyrząd ten, znany pod nazwą kinematografu, pozwala nie tylko odtwarzać sceny dłuższe, ale służy on równocześnie do otrzymywania bezpośrednich fotografij czyli negatywów.

Budowa kinematografu jest w ogólnych zarysach następująca. Na papierowej wstędze o długości 15 metrów (obecnie są używane i dłuższe), szerokości 3 cm. znajduje się szereg zwyczajnych fotografij czyli pozytywów. Fotografie te, otrzymywane w odstępach czasu $^1/_{15}$ sek., są ściśle jednakowe; nie tylko ich rozmiary są zupełnie takie same, ale i przedstawione na nich nieruchome przedmioty są zupełnie w tych samych miejscach: jeżeli dwie jakiekolwiek fotografie położyć jednę na drugiej, to przedmioty nieruchome nakrywają się wzajemnie, a różnica w położeniu przedmiotów ruchomych przedstawia ruch wykonany w przeciągu czasu, który upłynął pomiędzy zdjęciem obu fotografij. Na obu brzegach tej wstęgi znajdują się w zupełnie równych odległościach małe otwory; każda para tych otworów, umieszczona na tej samej wysokości, odpowiada jednej fotografii. Wstęga ta jest luźno nawinięta naokoło metalowego pręta i znajduje się w osobnem małem pudełku ponad właściwym kinematografem, do którego wchodzi przez szparę. Najpierw przesuwa się wstęga w kinematografie idąc na dół przed okienkiem, na zewnątrz którego znajduje się objektyw; potem, przeszedłszy pod metalowym walcem, zwraca się do góry, przesuwa się ponad metalowym prętem umieszczonym poniżej okienka i ostatecznie nawija się na ruchomy cylinder. Za pomocą korby na zewnątrz pudełka, w którem mieści się cały mechanizm, obraca się cylinder, na który nawija się wstęga i mechanizm przesuwający i zatrzymujący wstęgę z fotografiami. Główną częścią składową całego tego mechanizmu, posiadającego dość złożoną budowę, jest rodzaj kotwicy (jak w zegarku) i trójkątny odśrodkowiec, które przez $^2/_3$ części czasu zatrzymują fotografię ponad okienkiem, a przez $^1/_3$ część przesuwają ją. Na jednem ramieniu kotwicy znajduje się pręt posiadający dwa zęby, których odległość jest taka sama, jak odległość dwóch obwodów wstęgi, umieszczonych na tej samej wysokości. Gdy ramię kotwicy z prętem znajduje się w swem najwyższem położeniu, to zbliża się ono pod wpływem ruchu odśrodkowca ku wstędze, zęby wchodzą w obwody i pociągają wstęgę w swym ruchu ku dołowi; gdy zaś ramię dojdzie do swego najniższego położenia, to odśrodkowiec odciąga je od wstęgi, zęby opuszczają otwory i poruszają się same do góry. Podczas następnego zupełnego obrotu powtarza się to samo; w najwyższem swem położeniu stoją one nawprost nowej pary otworów wstęgi, wchodzą w nie, pociągają wstęgę o jednę fotografię na dół i t. d. Ruch

ten odbywa się w ten sposób, że czas posuwania się pręta z zębami z dołu do góry jest dwa razy dłuższy od czasu posuwania się go z góry na dół, a więc podczas przesuwania się wstęgi. W ten sposób może się przesunąć przed okienkiem w przeciągu jednej minuty 900 fotografij; każda fotografia zatrzymuje się zatem przy takiej szybkości przesuwania przez $^2/_{45}$ sekundy, a jedna fotografia zjawia się po drugiej po upływie $^1/_{45}$ sekundy. Aby uniknąć zjawiania się ciemnych i jasnych smug, które spowodowałoby przesuwanie fotografij, znajduje się w aparacie blenda, która podczas każdego przesuwania fotografij zamyka okienko. Na wprost okienka, w przeciwległej ścianie znajduje się otwór, przez który wpada snop światła elektrycznego, który rzuca obraz przez objektyw na duży ekran oddalony od aparatu na 5 metrów.


Fotografie do kinematografu Lumière.

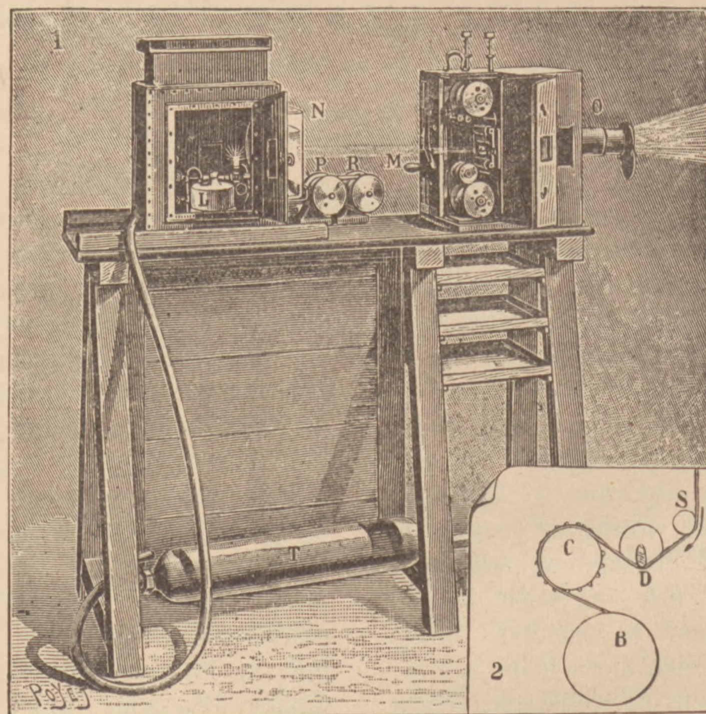
Za pomocą tego samego aparatu można otrzymywać — jak wyżej już wspomniano — negatywy, do czego wystarcza tylko zmienić objektyw i zastąpić wstęgę z fotografiami wstęgą czułą.

Cały kinematograf ma wielkość zwyczajnego aparatu fotograficznego.

Kinematografy braci Lumière, mimo swej doskonałości w przedstawianiu żywych fotografij, posiadają pewne braki, które zostały usunięte w ostatnich czasach w innych przyrządach. Wskutek małych rozmiarów fotografij używanych w kinematografie Lumière, jest niezbędnem — w celu otrzymania dużych i wyraźnych obrazów — światło elektryczne, co wymaga maszyn i wskutek tego nie pozwala urządzać przedstawień w każdej miejscowości. Drugą wadą jest sposób przesuwania fotografij; widełki, które wchodzą w otwory wstęgi — mimo największej dokładności całego mechanizmu — powiększają powoli te otwory, niszczą wstęgę i robią ją po krótkim czasie niezdatną do użycia, a cena takich wstęg — mówiąc nawiasem — jest dość znaczna.

Załączony rysunek (ryc. 1) przedstawia reprodukcye czterech fotografij (rozmiary fotografii są zachowane), wyjętych w jednakowych odstępach z szeregu 45 fotografij, odtwarzających scenę karmienia dziecka, przedstawioną w teatrze tutejszym.

Jednym z nowszych przyrządów, bardziej udoskonalonym, jest t. zw. chronofotograf Demeny'ego; przyrząd ten przedstawiony na załączonym rysunku (ryc. 2), odznacza się prostszą budową i używa fotografij większych rozmiarów, wskutek czego nie potrzebuje silnego światła elektrycznego i może być użytym w każdem miejscu. Na stole, po prawej stronie, znajduje się właściwy chronofotograf, po lewej — latarnia. Wstęga z fotografiami długości 35 metrów jest nawinięta na cylindrze (najwyżej na rysunku), z którego odwija się pod wpływem obrotu walca kauczukowego (na rysunku cokolwiek niżej na lewo), który jest umieszczony na sprężynie i silnie na wstęgę naciska. Odwijająca się wstęga przechodzi najpierw poza prętem metalowym, który ją zwraca pomiędzy dwie ramki obite aksamitem i służące za okienko; następnie przeszedłszy znowu poza drugim prętem m metalowym (przedstawionym w powiększeniu w S na fig. 2. ryc. 2) przesuwa się pod spłaszczonym cylindrem (D na fig. 2) i ostatecznie, przesunąwszy się jeszcze ponad walcem (drugi od dołu na fig. 1. ryc. 2, C na fig. 2), nawija się na najniżej umieszczony cylinder. Mechanizm przesuwania i zatrzymywania wstęgi jest następujący: Wstęga odwija się z górnego cylindra tak, że kawałek jej zwiesza się zawsze swobodnie, i wskutek tego z łatwością może być pociągnięta



Chronofotograf Demeny'ego.

na dół; gdy więc obracający się odśrodkowiec D znajduje się w położeniu takiem jak na fig. 2. ryc. 2 i naciska na wstęgę, to ta ustępuje i posuwa się na dół; gdy jednak D przyjmie położenie prostopadłe do przedstawionego na rysunku, to ciśnienie jego zmniejsza się i wstęga nie porusza się. Podczas tej chwilowej nieruchomości wstęgi w D, a zatem i przed okienkiem, górny cylinder obraca się jednak w dalszym ciągu, rozwija kawałek wstęgi i przygotowuje znów materyał dla odśrodkowca D. Cały mechanizm porusza się pod wpływem korby M; wszystkie cylindry i walce obracają się równocześnie; niema tu żadnych przestanków i szarpań wstęgi. Blenda zamykająca okienko podczas przesuwania się obrazów jest umieszczona pomiędzy okienkiem a objektywem.

Oświetlenie w chronofotografie Demeny może być rozmaite, elektryczne, gazowe lub inne. Załączony rysunek przedstawia urządzenie do oświetlenia eterem; L jest lampką z eterem, do której zostaje doprowadzony przez kauczukową rurę tlen ze zbiornika T. Światło z latarni przechodzi najpierw zwyczajną soczewkę zbierającą a potem — aby powstrzymać część promieni cieplikowych — naczynie N napełnione wodą.



Fotografie do chronofotografu Demeny'ego.

P R są cylindry, na które nawija się napowrót użyte wstęgi.

Rozmiary fotografij używanych w aparacie Demeny posiadają 3.5 cm. wysokości i 4.5 cm. długości; przy silnem świetle dają one zupełnie wyraźne obrazy wysokości 5 metrów.

Rysunek 3 przedstawia trzy grupy fotografij wyjętych w rozmaitych miejscach wstęgi o 35 metrach długości; fotografie te, kolorowane, służyły do przedstawienia baletu w feeryi w teatrze Châtelet w Paryżu *).

*) Rycina ta nie bardzo odpowiada pojęciom Redakcyi o piśmie illustrowanem; niestety, jest ona *najprzyzwoitszą* ze wszystkich, jakie można było mieć w Paryżu do dyspozycyi.

F. E. Polzeniusz.



NOWE PRZYGODY TWARDOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Wszyscy obecni uważali tę interpretacyę za nader prostą i najnaturalniejszą ze wszystkich; mówca wskoczył na beczkę stojącą na rogu ulicy i jął tłumaczyć, że Moskwa chytra nie szczędzi rubli, żeby do nas wyprawiać ludzi, którzy pod rozmaitemi pozorami mają nas zniechęcać do narodowych pamiątek, żebyśmy przez to stracili poczucie narodowe — a mówiąc to, wskazywał na Twardowskiego. Rozszarpać go chciano i musiał sobie radzić w ten sposób, że zniknął.

Przygoda niezwykła i dziwna; trudno było zrozumieć nawet, o co chodzi. Mówca tymczasem, który pierwszy odkrył „szpiega i zdrajcę", zwołał z tego powodu publiczne zgromadzenie, na którem długą mowę, przerywaną co chwilę gromkiemi oklaskami, zakończył w ten sposób:

„Tak jest, rodacy, nie dajmy w sobie gasić świętego znicza, lecz budźmy w sobie coraz bardziej ducha narodowego. Pamięć Białego Orła niechaj nam zawsze będzie przytomną. Z rana, ledwie się oczy odemkną, powinien potomek rycerzy z pod Kircholmu, Orszy i Wiednia pierwszą swą myślą zwrócić się ku Ojczyźnie; cóż tedy słuszniejszego, jak żeby nietylko w krawatach nosić narodowe herby, ale nawet koszule nocne haftować białemi orłami? U mnie (a wiecie jaki ja patryota!) na ręczniku jest haft Orła i Pogoni, toteż ledwie wstanę, ledwie krok zrobię ku umywalni, już się napawam narodowym duchem. Teraz zaś, skoro tacy, jak ów najemnik najeźdźców, głos śmią zabierać, będę się miał tem bardziej na baczności i jeszcze na szczoteczce do zębów każę wyryć: Jeszcze Polska nie zginęła! W południe, gdy siadam do stołu, znowu się przejmuję zapałem do sprawy narodowej; bo oto u mnie gzyms i wszystkie wnęki kredensu ozdobione popiersiami królów polskich. Na noc nie używałem dotychczas żadnego środka; skoro atoli zachodzi poważne niebezpieczeństwo, żeby w nas nie zgaszono narodowego ducha, postanowiłem coś obmyśleć na ocalenie słabnącego patryotyzmu: moim — to rozmyślaniom nad dobrem Ojczyzny zawdzięcza naród ten pomysł nocnej koszuli z haftami narodowych odznak. Tuszę, że w tej sali nie znajdzie się ani jeden, ktoby nie wziął udziału w tem budzeniu ducha; a kto inaczej myśli, ten jest odstępca, zaprzedaniec, zdrajca, jednem słowem stańczyk!" (przeciągłe oklaski).



Pas z Muzeum XX. Czartoryskich Nr. 809.

Po kilku dniach pojawiły się w sklepach nowe artykuły patryotyczne, zamówione przez grono gorących patryotów, za odpowiednim rabatem, u firmy *Schwindelmaier und C°* w Wiedniu. Interes szedł tak świetnie, że w Berlinie założono osobne akcyjne *Polnische Export Gesellschaft*, celem wyrobu przeróżnych bawidełek patryotycznych; tamtejsza zaś firma *Hetzjäger, Söhne und Enkel* posunęła się jeszcze dalej i poczęła wyrabiać tapety z Orłami, Pogonią i św. Michałem, z widokami Wawelu, podobizną Kościuszki itp. Wzięli na to patent i zakasowali wszystkich innych; bo któryżby patryota nie chciał mieć bawialni obitej jenerałem w sukmanie, jadalni z sarkofagiem Mickiewicza, lub sypialni z trój-herbem?

Redakcya „Światła" pragnęła również wytapetować się patryotycznie; nadto miał chłopak od korekty dostać kontusik i czapkę z wysokim białym orzełkiem. Rzecz prosta — wszak możeby to zwabiło abonentów?...

Dowiedział się o tem jednak Twardowski. Ten stary za wiele sobie czasem pozwala, licząc na pobłażliwość, niby na ten urok, który wywiera (jak

sądzi), jako przedstawiciel Zygmuntowskiej tradycyi i żywy dokument idei niepodległości państwa polskiego; uroił sobie, że on lepiej potrafi tę ideę interpretować, dlatego, że żył i działał pod polską koroną, kiedy to Polska była wielkiem mocarstwem w Europie. Zapewne, jest coś racyi w tych uroszczeniach starego Mistrza, ale... za wiele sobie pozwala.

Wpadł do nas, jak huragan i aż nazbyt jędrnie sprawił swe poselstwo, wołając: „Myślałem, że umiecie się głębiej zastanowić nad sprawami. Patryotyzm chcecie osadzić na figielkach z gotowalni, a może Ojczyznę zmieścić na guziku?!“ Protestowaliśmy oczywiście energicznie przeciw takiemu jakiemuś przedhistorycznemu stosowaniu logiki; trudno, uczucia patryotyczne muszą się przecież jakoś wyrażać! Ale Twardowski nam przerwał i rzecze: „Zresztą niema co z wami dysputować, ale może wam przyda się taki argument: Spróbujcie tapetować sobie pokoje orłami austryackiemi, w krawatach nosić pruskie, a na mankietach rossyjskie; czy może myślicie, że za to dostalibyście order? Nie; przeciwnie, poszlibyście do kozy, bo żaden rząd nie może pozwolić, żeby herb państwa służył komuś do prywatnego użytku. Spróbuj nad swym domem umieścić cesarskiego orła, a jutro przyjdzie policya i strąci ci go. Nadużywacie białego orła, wywieszacie go sobie bezkarnie nad lada garkuchnią, bo niema władzy, któraby się za nim ujęła i wystąpiła przeciw jego profanacyi. Używanie orła białego do byle czego jest właśnie znamiennym symbolem niewoli narodowej, bo inaczej byłoby wolno używać tego znaku tylko — rządowi polskiemu. Jeżeli tedy popadniecie w manię guzikowego patryotyzmu, zrywam z wami wszelkie stosunki i róbcie sobie „Światło“ sami. Możecie rozniecać bengalskie ognie, jeżeli wam chodzi o efekt; ale ja chcę zwykłego światła, zastosowanego do pożytku ludzkiego, a nie do blagowania ludzi i do bengalskiego oświetlania spraw publicznych ręki nie przyłożę. Fajerwerk trwa krótko, a gdy zgaśnie — dopieroż nastąpią egipskie ciemności!“

Trzasnął drzwiami jak furyat i tyleśmy go widzieli. Fatalna historya! Mieliśmy bowiem właśnie rozwinąć program pisma i rozesłać prospekty, dowodzące jak na dłoni, że nasze pismo będzie najpatryotyczniejsze ze wszystkich. Na okładce miał być trój-herb, artykuły wstępne złożone ze samych kadzideł dla „naszego patryotycznego ogółu“, rozprawka o dawnem poddaństwie ludu polskiego miała być pisana dalej górnolotnym stylem i rozczulać się nad dawnemi wiecami kmiecemi (chociaż ich naprawdę nigdy nie było); szereg artykułów o miastach polskich byłby się zawsze zaczynał od sakramentalnych słów: prastary gród sarmacki, niegdyś pełen kwiatu patryotycznego mieszczaństwa (choćby to był Pacanów); cały numer miał być zapełniony miłemi słówkami, a nad brakiem treści miała się unosić pokupna patryotyczna forma — ale cóż, skoro stary nie pozwoli! Musimy się wycofać z licytacyi o popularność. Mogliśmy junaczyć sobie, a zręcznym pokłonem wyprosić oklaski, ach, mogliśmy być nakształt tanecznego wodzireja na arenie publicznej... Przez tego starego mamuta z XVI. wieku, przez tego upiora Zygmuntowskiego, wypadnie zdjąć godowe szaty (komuż w nich nie do twarzy?), a wdziać kubrak roboczy; trzeba zejść z popisowej estrady i to aż... pod ziemię, żeby się wiecznie garbić w istnej kopalni, kruszcowej żyły poszukując, i to nie złota, lecz żelaza. Górnik swobodniejsze będzie wiódł życie, niż my pod tyraństwem Twardowskiego. On nas chce zmusić, żeby wszystko brać na seryo — czyż może być gwałt większy?



Pas polski ze zbioru hr. Katarzyny Potockiej w Krakowie.

On ma, że tak powiemy, kopalnianą *idée fixe;* jakąś manię ustawicznego dobierania się do gruntu, jakby fundamenta chciał zakładać pod niewiedzieć jaką budowlę. Sensat! Łatwo-to jemu, że posiada sztukę odmładzania się i podobno wtenczas dopiero umrze, jeżeli się kiedy spotka w Berdyczowie z żydem wiecznym tułaczem; ale nam? My chcemy pobawić się; zapewne, troska o sprawy publiczne też potrzebna, uznajemy to najzupełniej; toteż zajmujemy się niemi przecie, ale bez przesady. Można przecież pogodzić jedno z drugiem; na dowód zresztą, że sprawy pospolite ciągle nas zajmują, je-

steśmy gotowi zabawiać się wyłącznie na załatwianiu spraw publicznych i bawić się tylko ich kosztem. Tak będzie i wilk syty i owca cała: weźmiemy udział w życiu publicznem, ale o tyle, o ile się ono nadaje do zwiększenia przyjemności życia. Miły Boże! życie jest zbyt krótkie...

— A historya porozbiorowa jest zbyt długa!

— Co to za głos? — To on wrzasnął nam znowu nad uchem! To głos Twardowskiego. Zapomnieliśmy, że on może się zrobić niewidzialnym; był tutaj i słyszał wszystko. Trzeba było udać skruchę i pokorę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z NOWYCH KSIĄŻEK.

„Metoda naukowa twierdzi tylko, że w sferze doświadczalnej takie a takie sposoby badania prowadzą do prawdy — a poza to nie każe wykraczać ani twierdzeniem, ani przeczeniem. Jeżeli jakaś filozofia albo jakaś religia mówi, że coś poza tem, innym sposobem wie albo wierzy, na to nauka, jako taka, nic innego nie ma do powiedzenia, tylko, że to do niej nie należy“.

X. Maryan Morawski T. J.: „Wieczory nad Lemanem“, Kraków, 1896 (na str. 27).

„W każdem zdarzeniu, w naturze czy w historyi, człowiek uczony widzieć może dzieło przyczyn naturalnych — człowiek religijny widzi sprawę Bożą — a uczony religijny widzi sprawę Bożą przez naturalne przyczyny wykonaną“.

Tamże, na str. 33.

Uczeni zajmują się obecnie coraz bardziej dziełami filozofa Hoene-Wrońskiego (1778—1853). Niesłychanie wszechstronny ten umysł dotykał w swych pismach często także spraw politycznych. Przytaczamy sąd jego o przeznaczeniu Rosyi. Będzie to echo dawnych lat, z r. 1842 jeszcze; charakterystycznem właśnie będzie to, że głos ten nie wymaga prawie żadnych zmian, ażeby wydać się dzisiejszym. W książce p. t. *Le destin de la France, de l'Allemagne et de la Russie,* wydanej w Paryżu w r. 1842, wyraża Hoene-Wroński takie poglądy:

„Ważne i wielkie jest przeznaczenie Rosyi i narodów słowiańskich, nieznane jeszcze w Europie. Rosya, Austrya i Prusy winny o tem pamiętać. Zamach, skierowany przeciwko tym elementom opatrznościowym, zwłaszcza w zamiarze zniszczenia ich lub oddania na łaskę widoków ziemskich, lub co gorzej, czysto osobistych, byłby nietylko krzyczącą niesprawiedliwością, lecz i prawdziwem świętokradztwem, bo w ten sposób chcianoby zniszczyć dzieło i zamiary Boga, celem odwrócenia przeznaczeń świata i wystawienia świątyni szatanowi na ziemi.

Głoszą, mówi dalej Wroński, że cesarz rosyjski przez niechęć osobistą chce zniszczyć narodowość polską. Podobna potwarz nie powinnaby dotknąć tego monarchy. Narody, zazdroszczące Rosyi wysokich przeznaczeń, prowokują Polaków przeciwko niej sposobami niegodnymi. Chciano skłonić Polaków do królobójstwa, t. j. do występku, przeciwko któremu zawsze powstawać będzie lojalność narodu polskiego. Cóż mogła uczynić Rosya wobec podobnych zamachów, wznawianych bez przerwy? Uważała, że jest rzeczą właściwą zniszczyć narzędzie tych wszystkich ruchów rewolucyjnych. Jest to ciężki błąd polityczny. Według Wrońskiego, byłby to nawet występek przeciwko majestatowi boskiemu, gdyby mężowie stanu rosyjscy doradzający zniszczenie, mogli widzieć wyżej ponad cele ziemskie, w których zamyka się dotąd polityka, i wznieść się do celów bezwzględnych, oraz do ostatecznych przeznaczeń ludzkości. Zamiar zniszczenia narodowości polskiej, jeżeli istnieje — o czem zresztą wątpić należy — nie może się udać; przeciwnie, mieć on będzie najsmutniejsze następstwa. W epoce, do której doszła obecnie cywilizacya, zniszczenie narodowości polskiej jest absolutnie niemożliwe. Usiłowanie podobne wywołałoby niebezpieczną reakcyę nietylko we wszystkich państwach cywilizowanych, zwracających baczną uwagę na potęgę i drogi polityczne Rosyi, lecz i u innych narodów słowiańskich, które przewidując dla siebie los podobny, połączyłyby się przeciwko Rosyi, a przez roztropność czy przez tajemną zemstę narodową odwróciłyby lub opóźniły spełnienie swoich przeznaczeń. Siedmnaście milionów Słowian, mieszkających w Austryi, podniosło świeżo sztandar panslawizmu, jako oznakę dążenia do utworzenia, pod oświeconem berłem Austryi, federacyi narodów słowiańskich. Do protektoratu tej federacyi powołanąby była Rosya, gdyby uszanowała niezależność Polski, a przynajmniej narodowość polską. Narody to słowiańskie w Austryi wypowiedziały pierwsze wyraz panslawizm, a dopiero później pisarze rosyjscy i niektórzy polscy powtórzyli to słowo magiczne, by wyrazić związek, być może, czysto chronologiczny pomiędzy Rosyą i Polską. Panslawizm zaś, jaki wyznają narody słowiańskie w Austryi jest oczywiście skierowany przeciwko Rosyi. Polacy, którzy zajmują się szczerze odbudowaniem swej ojczyzny, a zajmują się tem wszyscy napewno, połączą się sercem z tym panslawizmem zachodnim, który liczebnie i cywilizacyjnie zrównoważy kiedyś potęgę Rosyi.

Czy więc Rosya postępuje roztropnie, prowokując i wznosząc sama baryerę pomiędzy sobą i Europą? Czy pragnie ona wznowić czasy inwazyi barbarzyństwa i wysłać do Europy nowego Atyllę? Czyż na tem polegać ma przeznaczenie Rosyi? A jednak takby się zdawało z dzisiejszej jej polityki i postępowania z Polakami“.

S. Dickstein: „Hoene-Wroński, jego życie i prace“. Kraków, nakładem Akademii Umiejętności, 1896 (na str. 161).

Na słuszne żądanie grona prenumeratorów zmieniamy oznaczanie stronic »Światła«, stosując liczby nie do każdego numeru z osobna, lecz do całego rocznika.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Dr. Feliks Koneczny. — Druk W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie.